

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

“[...] Byłam z Bronią w Teresinie, gdy tam przyjechałyśmy zobaczyłam duży las i nie było ani śladu po naszej kolonii. Miałam nadzieję, że może natrafię na ślady po naszym rodzinnym domu, ale tylko duże drzewa, tak że znaku nie ma, że tu była kiedyś piękna, duża polska kolonia, pachnąca kwiatami. Zrozumiałam nie bez bólu serca, że nie ma mowy, bym odnalazła choćby drogę wiodącą przez Teresin na Oseredek, czy z Teresina na Włodzimierz Wołyński. A w swoim czasie, była to droga dość szeroka. **Zapaliłam zatem tam lampki, ot tak w krzakach, bo więcej zrobić się po prostu nie dało. Patrzyłam na płomień tej świecy, a ból rodził me serce, gdzieś tu pośród tych drzew i krzewów, pozostała najdroższa mi cząstka, a ja jestem tak blisko i nie mogę Ich znaleźć.** Myślałam sobie: „*Mój Boże tak wiele przeżyłam i to przeżyję, choć niełatwo mi stąd i dziś odchodzić, może nawet trudniej, niż za tym pierwszym razem, a nawet może i tym drugim razem.* [...]” Wiktoria Baumgart z d. Sobolewska

WSPOMNIENIA WIKTORII BAUMGART Z D. SOBOLEWSKA Z KOLONII TERESIN, POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1938 - 1944

Nazywam się Wiktoria Baumgart, mam 81 lat, mieszkam w miasteczku Bogatynia przy ul. Energetyków 20/1. Urodziłam się 05 września 1931 r. na kolonii Teresin, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński. Mój tato nazywał się Henryk Sobolewski i właściwie poza tym, że przyjechał z Rosji, tyle mi tylko o nim wiadomo, gdyż tato nigdy nic o sobie nie mówił. Moja mama Anna Sobolewska z d. Kisielewicz, również nic nie mówiła nam o swoich rodzicach. Tato był dużo starszy od mamy i miał już 55 lat, gdy zginął, a mama tylko 35, jak ją zamordowali. Stało się tak bowiem nasza mama wyszła za mąż w b. młodym wieku. Służyła bowiem za pomocnicę, u rodzonej siostry Józefy Topolanek i chciała się po prostu usamodzielnic, pragnęła być niezależna, mieć swój własny dom i swoją własną rodzinę. Mama miała rodzzonego brata Mieczysława Kisielewicz, dwie rodzone siostry, jedna mieszkała na Włodzimierzówce, ale pomarła jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, a drugą była właśnie Józefa Topolanek i była żoną Jana. Tato miał jedną rodzoną siostrę Teresę Klimiec z d. Sobolewska. Pamiętam że była wdową i miała jednego syna Michała Klimiec, który mieszkał we Włodzimierzu Wołyńskim.

Dla Królestwa Niebieskiego narodziłam się w naszym kościele parafialnym p.w. Narodzenia NMP w Swojczowie. Moją mamą chrzestną była znajoma rodziców z Tartaku Kohyleńskiego. Wiem że jeszcze przed II wojną światową wyjechała do USA, wydaje mi się że miała na nazwisko Klamra. Miałam 5-cioro rodzeństwa, w tym: Feliksa (1926), Mieczysław (1928), trzecia byłam ja, a po mnie urodzili się jeszcze: Witold (1933), Czesława (1936) i ostatni Tadeusz (1938). Miałam zatem radosne dzieciństwo, ale łatwo też nie było. Od najmłodszych lat musiałam bawić moje małe rodzeństwo. Bywały takie noce, że rodzice spali, a ja po całych nocach kołysałam dwoje dzieci. Gdy tylko podrosłam, posyłała mnie mama, abym pasła krowy na polanach w lesie, dużo nas dzieci na Teresinie wypasało krowy. To była taka nasza rozrywka. Poza tym trzeba było wybierać orzechy, zrywaliśmy wiśnie, czereśnie, jabłka, mieliśmy bowiem piękny i duży sad. Dlatego robiliśmy zapasy w sadzie na całą zimę. W sadzie był piec i tam latem wypiekało się pachnący chleb, tam też suszyliśmy owoce. Taki letni piec.

Pamiętam do dziś, jak bardzo lubiłam chodzić na majówkę, którą mieszkańcy naszej kolonii organizowali każdego roku. Nasi ludzie byli pobożni, nikt ich do modlitwy nie nakłaniał, tym bardziej nie zmuszał, po prostu wystawiali obrazek święty i krzyż i bez księdza sami śpiewali Litanię do NMP. Dużo ludzi w tym dzieci przychodziło się modlić. Bardzo ładny głos miał rodzony brat mojej mamy

Mieczysław Kisielewicz, który po wojnie zmarł w Kudowie Zdrój w pięknym wieku 96 lat. Podobnie też śpiewano nabożeństwo czerwcowe, ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa. Do naszego kościoła w Swojczowie, zwykle chodziliśmy na piechotę, było to około 8 km. Tam przyjełam I Komunię świętą, a razem ze mną Aleksander Topolanek, bo my z jednego roku. Bardzo dobrze pamiętam święta Bożego Narodzenia, tata zawsze przynosił z lasu hoinkę, a my dzieci miałyśmy tę nieopisaną radochę, gdy stroiliśmy drzewko na te, tak rodzinne i piękne święta. Dużo śpiewało się w naszym domu kolęd, rodzice nasi byli b. pobożni. Rodzice zawsze pilnowali, by każdego wieczoru, klękać razem z nimi do wspólnego, rodzinnego pacierza. To nie to samo, co teraz widzimy, gdzie tam dzisiaj porównać, tą młodzież do tamtej młodzieży kresowej. Na początku chodziłam do szkoły na Teresinie, a potem gdy wybuchła ta straszliwa wojna, do szkoły już nie poszłam. Rodzice zabierali mnie czasami także do miasta Włodzimierza Wołyńskiego, a było tam około 15 km. Pamiętam także, że do wybuchu wojny, było u nas spokojnie, ludzie żyli w zgodzie i nie było właściwie problemów z Ukraińcami.

OKUPACJA SOWIECKA

Pamiętam, że gdy w 1939 r. przyszli w nasze strony Sowieci to zrobili na Tartaku Kohyleńskim wielkie koszary wojskowe. Dużo było tam magazynów i dużo było wszelkiego rodzaju broni. Ponieważ Sowieci pilnowali porządku, było w naszej okolicy spokojnie. Raz jeden rodzice zbrali mnie na film, które wyświetlało sowieckie wojsko i kto chciał, mógł tam pójść i zobaczyć za darmo. Zrobili po prostu takie kino na naszym Tartaku Kohyleńskim. Ponieważ pierwszy raz w życiu widziałam, coś takiego, bałam się bardzo i krzyczałam, dla mnie było to bowiem coś strasznego. Tymczasem rodzice śmiali się ze mnie i uciszali mnie, bym się wcale nie bała, bo to nie groźne.

Od 1940 r. Sowieci wywozili naszych ludzi na Syberię i rodzice poważanie liczyli się z tym, że i nas pewnej nocy zabiorą. Nawet suszyli rodzice chleb i pakowali w worki, takie suchary na ostatnią chwilę. Ale ostatecznie z naszej kolonii nikogo nie zabrali. Gdy w czerwcu 1941 r. przyszli Niemcy, to zlikwidowali te koszary, wielu ludzi tam chodziło i zbierało wszystko, co nadawało się do domu. Nas dzieci, rodzice tam jednak nie puszczali.

OKUPACJA NIEMIECKA

Po wejściu Niemców na Wołyń, nadal na Teresinie było spokojnie i nic szczególnego się nie działo. Ukraińców w naszych rodzinach nie postrzegano jeszcze jako realne niebezpieczeństwo. Od 1942 r. zaczęto wysyłać na przymusowe roboty do Niemiec młodzież polską. Z Teresina zbrali Bronisława Topolanek, który dzięki temu może przeżył i po wojnie osiadł w miejscowości Łężyce koło Duszniki Zdrój. Na roboty przymusowe zabrano także syna Buczkowskich, który także ocalał. Poza tym Niemcy rozprawili się z naszymi Żydami, zabrali także Żyda o nazwisku Kac i jego żonę oraz ich dzieci: chłopak i córka. Do dziś pamiętam, jak byli smutni, gdy Ich oprawcy zabierali, wielu naszych sąsiadów, było świadkami Ich wojennej gehenny.

Naszymi sąsiadami na Teresinie byli od drogi po lewej stronie, rodzona siostra taty Teresa Klimiec lat 63, zginęła podczas sierpniowej rzezi, jaką Ukraińcy zgotowali Polakom, a z nią moja siostra Feliksa Sobolewska. Po prawej stronie mieszkała babcia Jankowska lat ok 55 i też została zamordowana tej nocy. Jej syn Edward Jankowski przeżył, trafił do Włodzimierza Wołyńskiego, a po wojnie osiadł w Cetach koło Łodzi. Miał także rodzoną siostrę Romkę, która po wojnie osiadła w Hrubieszowie na Zamojszczyźnie. Za Klimiec Teresą mieszkała polska rodzina

Karbowiaków. Za Karbowiakiem mieszkała polska rodzina, której syn był niewidomy, miał na imię Mieczysław i pięknie grał na skrzypcach. Znałam go dobrze, bo razem wypasaliśmy krowy. Ukraińcy zamordowali Ich troje tej nocy. Za tą rodziną, następny dom, to była polska rodzina Buczkowskich. Tej nocy zamordowano babcię Buczkowskich oraz dwie córki lat 18 i 12. A uratowała się ze mną najmłodsza córka lat około 10. Za Buczkowskimi mieszkała polska rodzina Krochmali. Tam też pobili, ale nie wiem ile. Jeszcze za Krochmalem mieszkał rodzony brat mamy Mieczysław Kisielewicz z żoną Wiktoria oraz z dwójką dzieci, starsza Zuzanna i była jeszcze młodsza. Wszyscy przeżyli i po wojnie osiedli w miasteczku Kudowa Zdrój.

Zanim jednak przyszło do tego ludobójstwa, już latem 1943 r. zaczęło robić się głośno, że Ukraińcy zaczynają zagrażać Polakom. Ludzie mówili o tym na Teresinie i moi rodzice, też się bali o nasz los. Były donosy, że Ukraińcy będą mordować Polaków. Gdy sytuacja stała się już bardzo groźna, rodzice nasi oraz wielu innych mieszkańców Teresina, zdecydowali się uciekać do miasta Włodzimierz Wołyński. Ojciec nasz zabrał dzieci na wóz, bydło oraz trochę żywności i pojechaliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego. Zatrzymaliśmy się u cici Teresy Klimiec, jej syn mieszkał w mieście przy ulicy Lwowskiej. W drodze do miasta zatrzymali nas uzbrojeni Ukraińcy i kontrolowali wszystko, co mieliśmy ze sobą. Musiał się nasz tatuś tłumaczyć, dlaczego to uciekamy z Teresina z rodzinnego domu. Na szczęście puścili nas dalej wolno, a przy tym dziwili się bardzo, że tak panicznie uciekamy. Zapewniali nas solennie, że nie mamy się czego obawiać, że nic nam nie grozi i nawet namawiali, byśmy spokojnie wracali do swojego domu. Działo się to jeszcze przed żniwami. Rodzice nasi nie słuchali specjalnie tych rad i w mieście byliśmy przez około dwa miesiące. Bardzo dużo rodzin z Teresina i z całej okolicy uciekło w ten sposób do miasta.

BRZĘK SZYB, W OKNIE ZOBACZYLIŚMY WIDŁY I SIEKIERY

Było na wsi w tym czasie spokojnie, zbliżały się żniwa, a pięknie obrodziły pola. Ojciec nasz nie chciał być dłużej w mieście, zdecydował że czas wrócić na Teresin i zabrał nas wszystkich ze sobą. Ja wracać nie chciałam i bardzo płakałam, miałam przeczucie, że coś się złego stanie. Ale wiadomo, jak to było kiedyś, rodzice jak coś powiedzieli, to było święte. Były piękne żniwa 1943 r., a w okolicy nic się specjalnego nie działo, cicho było. Ale były też różne pogłoski na temat Ukraińców. Nasz ojciec powiedział nam znacząco: „*Dzieci jak chcecie, to się chowajcie, gdzie tylko chcecie. Ja stary, jak zginę to na swojej ziemi.*”. I tak się potem miało stać, jak powiedział wtedy nam tatuś. Mieliśmy w domu schron i można tam było dobrze się ukryć, ale ojciec nie chciał. Mieliśmy granaty, bo Ruskie jak uciekali, to zostawili wszystko w Lesie w koszarach, koło Tartaku. Tam była broń, kto chciał to brał, najwięcej to Ukraińcy brali, bo wiedzieli że im się przyda do mordowania Polaków. Po żniwach 1943 r. było nadal cicho, ale krótko. Ja chodziłam spać do Buczków, spałam z córką Gienią Buczków. W dole była jama na podwórko, dobrze przykryta pniakami i my obie tam spały w tym dole, na noc obkładając się tymi pniakami. Pozostała rodzina Buczków spała w stodole i w domu.

To była niedziela. Ja i rodzina Buczkowskich spaliśmy w domu, w tym matka Buczkowskich i trzy jej córki: Aleksandra, Genowefa i Leokadia. Małżeństwo spało w stodole. Był ranek piękny, spaliśmy spokojnie, wszyscy myśleli że będzie dobrze, **nikt nawet nie przypuszczał, że stanie się straszne nieszczęście. Usłyszeliśmy rano naraz brzęk szyb w oknie. Ja i pozostali z rodziny Buczkowskich zerwaliśmy się z łóżek patrzymy, a w oknie są widły i siekiery.** W sieni była drabina na strych, postawiliśmy drabinę i uciekamy po niej na górę, jedna drugą się pyta: „*Co jest?*”.

Nikt nic nie mówi. Pytam babcie Buczków: „*Co jest?*”. Ale znów nie było odpowiedzi! Wszyscy byliśmy w szoku.

Na strychu było trochę snopków i plewa była, więc ja z młodszą córką Buczkowskich Leokadią, obie schowałyśmy się pod samą strzechą, jedna drugą przykrywała plewą. A matka Buczkowskich (babcia), córką Ola i Genowefa wyszły ze strychu same na zewnątrz, drugą drabiną i innym wyjściem i tam je dopadli rezuny i zabili. Gienia uciekała koło szkółki do lasu, ale dopadli ją i zaciągnęli na podwórko i zabili. Opowiadali nam to wszystko dokładnie rodzice, którzy byli w stodole i patrzyli przez szpary jak mordują dzieci i babcie. My obie z Lodzią w tych plewach, byłyśmy schowane, jak długo nie wiem, może z godzinę. Wlazł Ukrainiec na strych, chodził z toporem, słychać było jak stukał po podłodze. Pan Bóg dał że nas nie widział, bo oni bandyci byli pijani. Powiedział wtedy tak: „*Chło je nechaj wyjde!*”. Tyle pamiętam, Bóg dał że nas nie zobaczył i zszedł na dół. Poszli mordować dalej, tym razem do Krochmala. Słychać było jęki i rąbanie ludzi siekierami. Ile Ich zginęło nie wiem, a oni oprawcy szli dalej, od domu do domu. Poszli dalej, było już cicho, więc wyszłam z plewy i Lodzia też. Ja nawet nie wiedziałam, która ze mną się schowała. Dopiero jak otrzęśliśmy się ze słomy, dopiero zobaczyłam, kto ocalał z rodziny Buczkowskich. Nie wiem co mnie przyszło do głowy, ale powiedziałam do Lodzi, żebyśmy zmówiły pacierz. Po modlitwie mówię: „*Schodzimy ze strychu.*”.

Drabina podstawiona była z dworu, po niej właśnie bandyta wlaź na strych szukać pozostałych. Powiedziałam do niej: „*Idziemy do mego domu zobaczyć, co z moimi rodzicami i rodzeństwem.*”. **Schodzimy po tej drabinie, a pod szczeblami była ziemia zmieszana z krwią. Musiała być płytka ziemia, bo słychać było charczenie pod drabiną, jeszcze konali ludzie, a my musiałyśmy deptać po Nich, żeby zejść na dół i uciekać.** Przeszłyśmy koło Krakowiaka, bo chciałam zobaczyć, kto żyje, tym bardziej, że u nich był schowany mój brat Mieczysław i Jan Topolanek. Ale było pełno krwi na podwórzu, słychać charczenie było, bałam się więc uciekałyśmy dalej, koło mojej ciotki Teresy Klimczak, siostry mojego ojca. Moja starsza siostra chodziła do niej spać, ale było wszystko otwarte, drzwi i okno otwarte, krew pod drzwiami, też słychać było charczenie. Wiedziałam, że nie żyją, mogą nas bandziory zobaczyć i zabić, więc uciekamy dalej do mego domu, aby zobaczyć, co się tam teraz dzieje.

Wchodzimy na podwórko pełne krwi, drzwi otwarte, wołam: „*Mamo! Mamo!*”. W tym czasie mój rodzony brat Witol usłyszał moje wołanie i wyczołgał się spod łóżka, był cały umorusany we krwi. Pytam się go: „*Gdzie są rodzice?!*”. A on do mnie, że już nie ma nikogo, on sam wyszedł z tego ranny w głowę. Został uderzony siekierą, ile razy tego już nikt nie wie. Wzięłam go na podwórko i obmyłam mu głowę, porwałam prześcieradło na kawałki i zawiązałam mu głowę, wzięłam też bułki w koszyk. Poszłam do obory wypuścić zwierzęta, siekierą liny porabiałam, bo były powiązane krowy, cielaki i konie, wszystkie wypuściłam na wolność. Teraz powiedziałam do brata i Lodzi: „*Idziemy do ciotki Topolanek, zobaczyć kto żyje?!*”. A wiedziałam, gdzie mogą być schowani w lochu. Wyszliśmy z mego domu, a idąc zobaczyliśmy koło naszego ogródka, że było tam pełno krwi, takie kałuże.

Poszliśmy do Topolanków, zajrzałam do lochu i wołam: „*Ciociu, ciociu!*”. Posłyszała mój głos i wyszła z dziećmi z synami: Aleksandrem i Józefem. Mówię do niej: „*Uciekamy do lasu, tam przy lesie jest proso, tam się schowamy, bo inaczej nas zobaczą i zabiją.*”. Prosa na polanie było rzeczywiście dużo, a było dorodne i wysokie. Ciotka wzięła zatem trochę jedzenia i w tym prosie, przesiedzieliśmy cały dzień do nocy, a nie było wcale nas widać. Spotkaliśmy Kukułki, byli z dziećmi, ale ciotka powiedziała, żeby odeszli, bo gdy nas będzie dużo, łatwo będzie nas wykryć, a

wtedy zabiją wszystkich. Józefa Kukułka zginęła, chodziła z Ukraińcem i ją zabili, a reszta dzieci ocalała.

Całą niedzielę, bez picia byliśmy w prosie, brat był ranny i bardzo chciało mu się pić, baliśmy się, by nie płakał, bo by nas zaraz wytropili i zabili. A jeździli końmi po polanach i polach i szukali Polaków. Widziałam jak łapali naszego konia, a potem jeździli na nim i szukali takich niedobitków, jak my właśnie. Widzieliśmy jak Ukrainki szły z Useredka i wnosiły nasze rzeczy z naszych domów. Widzieliśmy gdyż wystawaliśmy na palcach z prosa, by móc lepiej zobaczyć, co się dzieje. Jakoś pod wielkim strachem wytrzymałiśmy jednak do wieczora, a z chwilą gdy zapadły ciemności, siedzieliśmy już w sianie. W stronę lasu były bowiem kopki skoszonego siana i tam się teraz ukrywaliśmy. Z samego rana, przez strumyk prześliśmy do partyzantki. Nazwy miejscowości dokładnie nie pamiętam, może to była Kalinówka, tam mieszkał mój wujek i Topolankowej szwagier, wdowiec. Trafiliśmy zatem do wuja, tam była polska partyzantka i tam, kto zdołał uciec od oprawców to był. Tam było spotkanie nas niedobitków.

Spotkałam mego brata rodzonego Mieczysława, który ocalał z rzezi, gdyż był schowany u Krakowiaka. Mietek, Janek Topolanek i syn Krakowiaka, tak opowiadali mi, co się u nich, tego strasznego ranka wydarzyło: *„Byliśmy ukryci w stodole Krakowiaka, schowaliśmy się w słomie, a drabinę wciągnęliśmy na górę na słomę. Ukraińcy szukali drugiej drabiny, zanim jednak znaleźli i weszli na górę, my głęboko wkopaliśmy się w słomę. Ukraińcy uzbrojeni w siekiery i widły zawzięcie szukali nas, ale jakoś nie znaleźli. Siedzieliśmy ukryci cały dzień, a nocą uciekliśmy, tu właśnie do Kalinówki.”*. W Kalinówce spotkałam też małżeństwo Buczkowskich, bardzo się ucieszyli że ze mną wyratowała się ich jedna córka. Buczkowscy mieszkali po wojnie koło Hrubieszowa na Zamojszczyźnie. W 1950 r. widziałam się także, raz jeden z rodziną polską Kukułków, ale potem nie miałam, już z nimi więcej kontaktu.

Na Kalinówce u partyzantów byliśmy tylko jeden dzień. W pierwszą noc polscy partyzanci odwieźli nas wszystkich, którzy ocaleli do miasta Włodzimierz Wołyński. Z tą chwilą nasze drogi się rozeszły, każdy z ocalonych poszedł do rodziny lub do swoich znajomych. Ciężko ranny brat Witol, zaraz poszedł do szpitala, potem zabrała go rodzina, zaopiekował się nim Waclaw Kisielewicz. Nasz kuzyn o nazwisku Klimiec, wziął na utrzymanie Mietka, a mnie oddano do znajomych Klimca, ponieważ miał swoją rodzinę i nie stać go było, pomagać nam wszystkim. Tak oto znalazłam schronienie, u zupełnie obcych ludzi, pomimo że mieli czworo swoich dorosłych dzieci. Ci ludzie nazywali się Józef i Helena Pyrko, mieszkali przy ul. Polnej we Włodzimierzu Wołyńskim. Rodzina ta miała gospodarstwo i ja pasłam dla nich krowy. Mieszkaliśmy koło koszar, tymczasem częste naloty samolotów sprawiały, że niemal każdej nocy, uciekaliśmy w popłochu do schronu.

To był okropny czas, **Ukraińcy palili polskie wioski i kolonie dookoła miasta, jak okiem sięgnąć, wszędzie się paliło. Chyba nie trzeba dodawć, co my polskie dzieci czuliśmy, o czym myśleliśmy i co przeżywaliśmy w naszych młodych sercach. To był horror, którego nigdy nie zapomnę,** tego nie może wymazać czas, ani wiek, można wybaczyć, ale obrazu tamtego piekła, zamazać niepodobna, to jest po ludzku niemożliwe. Był strach że Ukraińcy napadną także na miasto Włodzimierz Wołyński i pomordują jeszcze tych, którzy dotychczas ocaleli. Zaczęli ludzie uciekać do lasu do polskiej partyzantki, taką decyzję podjął także Józef Pyrko. Jego dorosłe dzieci pieszo przeszły na tereny, kontrolowane przez polską partyzantkę. Natomiast mnie, swoją żonę Helenę i jedną córkę, gospodarz zabrał na sianie, bo była ostra zima. W lesie było już ciemno, na dodatek na polanie przed lasem sianie się zepsuły. Józef Pyrko posadził żonę na konia, a mi i swojej córce nakazał,

byśmy cierpliwie czekały, aż wróci po nas wraz z partyzantami i odszli w ciemny las. Zosłyśmy same, strasznie było zimno i okropne myśli przychodziły do głowy. Ale musiałyśmy trwać, gdyż innego wyjścia nie było. Na szczęście po pewnym czasie przyjechali polscy partyzanci i zabrali nas do swojej bazy.

Jak byliśmy w lesie, to może było dwa tygodnie i z powrotem wróciliśmy do miasta Włodzimierz Wołyński. Już moich braci nie było. Niemcy pognali ich z całymi rodzinami, gdzieś w stronę Lublina, w którym roku nie pamiętam, może to był już rok 1944. Ukraińcy na miasto nie napadli. Przychodzili niemieccy oficerowie do mojej opiekunki po samogon, a miała bowiem pędziła bimber, dawali jej za ten bimber broń, którą to broń ona wysyłała przez starsze dzieci do polskiej partyzantki. Kiedy Ruskie zaczęli atakować miasto i koszary wojskowe, zaczęły się także łapanie po domach. Niemcy brali przemocą wszystkich zdolnych do kopania okopów i umocnień ziemnych i wozili nas gdzieś za miasto. Wyznaczali nam ile mamy wykopać, dawali chleb i margarynę oraz czarną kawę, za tę ciężką pracę. Pewnego razu przy tej pracy dopadli nas Ruskie i z samolotów zaczęli nas bombardować, wtedy uciekał każdy gdzie tylko mógł.

TULACZY LOS WOŁYŃSKICH RODZIN

Jak już były pogłoski, że Ruski ma przyjść, Niemcy wyszukiwali wszystkich cywilów po domach i zmuszali do ewakuacji. Każdy brał ze sobą, co tylko mógł zabrać na wóz, także Józef Pyrko zabrał wszystko, co się dało zabrać i ruszyliśmy na zachód. My dzieci pędziliśmy krowy, dużo polskich rodzin Niemcy gnali w tych dniach przed sobą w stronę rzeki Bug. Nad samą rzeką Ruskie znowu zaatakowali wszystkich i Niemców i niewinną ludność polską, ostro bombardując z samolotów. Jednak szczęśliwie udało nam się przekroczyć rzekę Bug i zaraz uciekliśmy od Niemców na wieś. Niemcy nie próbowali nas wstrzymać, byli zajęci sobą, panicznie uciekali na zachód. Trafiliśmy do jakiejś pustej wioski, były tam też wojskowe umocnienia i okopy i jakiś niemiecki oddział wojskowy, który nami jednak się wcale nie interesował. Uciekaliśmy więc dalej na polanę, już koło lasu. Były tam pola, a na nich żyto i pszenica. Tylko ponad naszymi głowami przelatywały armatnie kule i bomby.

Po jakimś czasie zrobiło się cicho, poszliśmy więc dzieci na wieś po owoce, do obcych ogrodów poszliśmy. Naraz zobaczyliśmy jakieś wojsko, żołnierze ci byli brudni i zarośnięci. Bardzo się wystraszyliśmy i uciekliśmy z powrotem na polanę do naszych rodziców i rodzin. Powiedzieliśmy wszystkim, że chyba już Ruskie do nas przyszli. Krótco po tym słyszemy, że idzie jakieś wojsko, część z nich podeszła do nas i pytają się, czy my Niemców gdzieś nie widzieli? Starsi ludzie odpowiedzieli spokojnie, że Niemców już nie ma, że puciekali w popłochu. Baliśmy się bardzo, bo ci frontowcy byli z karabinami gotowymi do strzału. Ale starsi zaczęli się im kłaniać w pas i przyjaźnie z nimi rozmawiali. Wszystko dobrze się skończyło i żołnierze ci odeszli dalej na zachód, za uciekającymi Niemcami. A my zaraz postanowiliśmy wrócić na nasz rodzinny Wołyń, przez linię frontu wracaliśmy do kochanego miasta Włodzimierza Wołyńskiego. Po drodze widziałam pełno trupów i zwierząt pobitych, w tym konie.

TWARZĄ W TWARZ ZE ZBRODNIARZEM

Przyszli Ruskie, już było po wojnie. W mieście spotkał mnie znajomy Ukrainiec Jan Grzybowski z Taratku Kohyleńskiego. Zaprosił mnie do swego domu we Włodzimierzu Wołyńskim. Z tego co mówił rozumiałam, że jego żona oślepla, córka Wierka pracowała w Werbie w gminie, a on sam uciekł do miasta z Teresina.

Potem zaczął opowiadać, jak on sam, jego syn Mikołaj Grzybowski i inni Ukraińcy, których nazwisk jednak już nie pamiętam, jak mordowali moich rodziców, rodzeństwo i innych Polaków na Teresinie. Opowiadał mi to wszystko, młodej bardzo wówczas dziewczynie. Mówił mi twarzą w twarz tak: *„Byliśmy pijani, mieliśmy broń oraz siekiery i widły, strzelaliśmy tylko jeśli ktoś uciekał. Gdy przyszlismy pod dom Sobolewskich, pod twój dom stukaliśmy, by nam otworzono drzwi. Otworzył twój ojciec, miał na rękach twego małego braciszka. Z miejsca zaczęliśmy bić twego ojca i zmusiliśmy go, by szedł z nami do miejsca, gdzie była studnia Krakowiaka. Po drodze ojciec twój był bity, a potem żywcem jeszcze wrzucony do tej studni. Młodszą twoją siostrę wywlekli z domu za nogi i ręce w stronę ogródka, tam odrąbali jej ręce i nogi i tam właśnie skonała w wielkich mękach. Mamę twoją także bili i gnali również do ogródka, tam ją zamordowali, a strasznie krzyczała. Witola rąbnęła siekierą w głowę jeszcze w chacie.”*

Bandzior był bez skrupułów, jak mógł mnie tyle naopowiadać, jak miał sumienie, był przecież naszym sąsiadem. Mówił mi wtedy ponadto, że z innymi mordowali także Polaków na Tartaku Kohyleńskim. Dał mi nawet o dziwo zdjęcie mego stryja z Tartaku, może męczyło go sumienie. Może chciał coś dla mnie i dla naszej rodziny zrobić, jakoś zadośćuczynić, skoro Boża Opatrzność, taką możliwość jeszcze mu wyświadczyła. Nie wiem, tego się już zapewne nie dowiem. W każdym razie mam pamiątkę, bo stryj z całą rodziną zginęli i dzieci, wszyscy było ich razem siedem osób. Podobnie zresztą Polak o nazwisku Czamara z rodziną, wszyscy zginęli, tylko syn ocalał, bo był w tym czasie w Niemczech na przymusowych robotach. Pomordowani zostali także wszyscy z rodziny polskiej Wesołowskich, tylko matka z córką ocalały z tej rzezi.

SIEKIERNICY Z GNOJNA I KOHYLNA RĄBALI O ŚWICIE

Ten podrozdział wspomnień nie jest autorstwa pani Wiktorii Baumagart, ale jest wprost i nieodłącznie związany z jej wspomnieniami, dlatego opracowując całość i dla dobra całości, pozwoliłem sobie umieścić i ten materiał. Oto w czasopiśmie „Głos Wągrowiecki” 04 sierpnia 2011 r. ukazał się b. cenny artykuł p.t: *„Rzeź w komisariacie Ukraina”*, w którym opisane zostały losy pani Leokadii Miedzianowskiej z d. Buczkowskiej. To właśnie ta sama Leokadia o której już pisałem wyżej, a która razem z Wiktoria Sobolewską, ukryły się na strychu domu i tak cudem ocalały z rzezi na Teresinie. W artykule tym czytamy: *„[...] Leokadia Miedzianowska z d. Buczkowska urodziła się w 1933 r. w Kielczewicach na Lubelszczyźnie. Cztery lata później rodzice sprzedali ziemię nad Bystrycą i przenieśli się na Wołyń, do Teresina. Była to duża kolonia polska, zamieszkała przez ok. 300 Polaków i kilka rodzin ukraińskich. Powstała z parcelacji majątku księcia Zdzisława Lubomirskiego, działacza społecznego, prezydenta Warszawy w czasie I wojny światowej, oraz inicjatora ogłoszenia niepodległości Polski.*

Sielankę w Teresinie zburzył wybuch II wojny światowej. 17 września 1939 r. tę wołyńską miejscowość włączono do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a po ataku w 1941 r. Niemiec na ZSRR ustanowiono na terenach tych komisariat III Rzeszy „Ukraina”. Polacy znaleźli się wówczas w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Kulminacyjnym punktem tego okresu okazał się rok 1943. Już na przełomie lutego i marca dochodziło w okolicy do zabójstw na tle narodowościowym. Początkowo ginęli nauczyciele, leśniczy. Kiedy jednak zaczęły znikać z map całe polskie kolonie i wioski, Polaków zaczął ogarniać paniczny strach. Ojciec Leokadii wybudował w okolicy schron, do którego wejście przystaniał konar drzewa. Kryjówkami były też pomieszczenia gospodarcze, a w późniejszym okresie zboże.

Względny spokój, jaki dali Ukraińcy Polakom w sierpniu, aby mogli dokończyć żniwa, uśpił czujność w rodzinie Buczkowskich.

Była sobota 28 sierpnia 1943 r. Leokadia z Wiktoria Sobolewską, koleżanką z sąsiedztwa, babcią ze strony ojca oraz siostrami Olesią, która miała wówczas 17 lat i nieco młodszą Genią, postanowiły wyspać się w normalnych warunkach w domu (ze względów bezpieczeństwa bardzo często całe rodziny nocami ukrywały się poza domem - przyp. autora). Śpiących obudziło nad ranem 29 sierpnia, ujadanie psów. Jak się później okazało, podzieleni na grupy ukraińscy chłopcy z Kohylna i Gnojna, uzbrojeni w kosy, siekiery, widły i inne narzędzia zbrodni, wspólnie z upowcami okrążyli kolonię i wdzierali się do poszczególnych domostw.

Ojciec Leokadii, Jan Buczkowski, z sąsiadami Sebastianami, przebywali w schronie. Matka Elżbieta z d. Marcówna, miała kryjówkę w stodole. Cała reszta rodziny znalazła się niestety w pułapce, chowając się instynktownie na poddaszu domu. Leosia z koleżanką cudem uniknęły śmierci. Przykryły się sianem i zostały przeoczone. Dwie starsze siostry i babcię zrzucano z poddasza, bestialsko zamordowano i zakopano na podwórzu lekko przykrywając ziemią. Przerażony ojciec Leokadii uciekał polami i dotarł do oddalonego o niecałe 15 km Włodzimierza, gdzie znalazł schronienie u znajomych. Przekonany był, że nikt z jego rodziny nie przeżył. Matka z kolei **widziała, co dzieje się z jej dziećmi, ale strach tak ją sparaliżował, że nie potrafiła wydać z siebie ani słowa, choć wydawało się jej, że krzyczy, aby darowali im życie. Przez tydzień chowała się jeszcze w swojej kryjówce, jednak nie odważyła się odkopać przysypanych ziemią ciał, by sprawdzić ile osób zamordowano.** W końcu udała się do zaufanego ukraińskiego sołtysa Środy, który wozem przemycił ją do Włodzimierza. Tam ks. Stanisław Kobylecki, proboszcz parafii farnej, organizował opiekę dla ofiar rzezi. Nieoczekiwanie odnalazła tam swojego męża. Jeszcze większe szczęście spotkało ją, kiedy okazało się, że żyje również najmłodsza córeczka Leosia.

Leokadia ukrywała się długo na strychu ze swoją koleżanką, nie wiedziała, że matka przeżyła i przebywała cały czas w swojej kryjówce w stodole tuż obok. Postanowiła jednak opuścić poddasze i udać się ze swoją nieco starszą koleżanką do jej rodzinnego domu. Okazało się, że przeżył tam tylko jej brat i ciotka, która skryła się w dole od kartofli. W czwórkę postanowili dotrzeć do Włodzimierza. Szli pieszo polami, łąkami, lasami, uważając, aby nikt ich nie zauważył. W końcu dotarli do celu. Trud podróży wynagrodziła Leosi niespodziewana wiadomość o ocalonych rodzicach.

Rodzina Buczkowskich postanowiła wrócić do Kielczewic na Lubelszczyznę, gdzie mieszkała babcia Leokadii od strony matki. Niestety, nie było to takie proste. Lubelszczyzna znajdowała się już w granicach Generalnego Gubernatorstwa, a oba terytoria dzieliła rzeka Bug. Postanowili jednak zaryzykować. Oplacili nielegalny przerzut, przepłynęli tratwą Bug i dotarli w końcu do Kielczewic. Zamieszkali w pobliskiej Borkowiźnie, dzieląc przez jakiś czas mieszkanie z rodziną Kassaków. Razem mieszkali też kilka dni wspólnie w Rąbczynie, po tym jak okazało się, że po przebyciu setek kilometrów gospodarstwo w okolicach Wągrowca, które mieli zasiedlić, było już zamieszkałe. Ostatecznie, po opłaceniu odstępnego, osiedli na poniemieckim gospodarstwie w Kobylcu. Tam Leokadia wychowała siedmioro swoich dzieci, trzech synów i cztery córki. [...].”

WOŁYŃ POZOSTAŁ W NASZYCH SERCACH

Zaraz po wojnie otrzymaliśmy kartę repatriacyjną i mnie i moich opiekunów wysiedlili do wsi Moniatycze koło Hrubieszowa. Jeszcze w 1946 r. Bronisław Topolanek przyjechał po mnie i zabrał mnie do miejscowości Cety koło Przedecza.

Moja ciocia Topolankowa dostała tam gospodarkę i wszyscy tam się teraz znaleźli. Brat mój Witol również był u Topolanków, a Mietek znalazł się z Klimcami w Gdańsku Nowy Port. Dopiero w 1948 r. Mietek odnalazł mnie u Topolanków w Cetach i zabrał mnie do Gdańska, chodziłam tam do szkoły w Żarach. Po pewnym czasie dostałam nakaz pracy w miasteczku Bogatynia i pracowałam tam w zakładach bawełnianych. Tak oto od 1950 r. po dziś dzień, mieszkam w Bogatyni na Dolnym Śląsku. Zatem choć daleko od rodzinnego Wołynia, ziemia naszych przodków, moja kochana ziemia rodzinna, zawsze była obecna w moim sercu. Obecna była w modlitwie, wspomnieniach i łzach, mój Boże ile tych łez było, to tylko dobry Bóg może dziś już wiedzieć.

Moje świadectwo zbliża się powoli do końca, starałam się jak najlepiej skreślić obraz tamtych dni, tamtych wołyńskich przeżyć, choć nie było to dla mnie łatwe. Jest to zatem opis przeżyć, niejako życiorys w wielkim skrócie. Szkoda tylko, że tyle lat upłynęło i coraz mniej, już wśród nas świadków z tamtych dni. Ludzie starsi więcej pamiętali, ale niestety czas ucieka, wieczność czeka i wielu odeszło już na tamtą stronę rzeki życia.

W 1987 r. wraz z moją koleżanką Ireną Bujan z d. Turzyńska, postanowiłyśmy wybrać się na Wołyń. Irena również pochodziła z Kresów z Wołynia, mieszkali całkiem niedaleko od nas. Ponieważ miała też siostrę Danutę w Mińsku na Białorusi, prosiłyśmy ją, a ona wyrobiła nam zaproszenia, bo były na tamten czas potrzebne. Na te właśnie zaproszenia, my pojechaliśmy do Mińska, a potem syn Danuty zawiózł nas na Wołyń. **Pojechaliśmy do Kohylna, ponieważ bardzo chciałam zobaczyć, raz jeszcze naszą kolonię Teresin. Chciałam odnaleźć tam miejsce spoczynku moich ukochanych rodziców i rodzeństwa.** W Kohylnie udało mi się odnaleźć, stareńką już Polkę o imieniu Bronisława, byłam u niej w domu. Zanim doszło do rzezi, także mieszkała na naszym Teresinie. Potem wyszła za mąż za Ukraińca i tak już została na sowieckiej Ukrainie. Bronia opowiadała mi, że ją też chcieli zabić bandyci, została uderzona młotkiem w głowę i upadła na płot. Boża Opatrzność sprawiła jednak, że uderzenie to nie okazało się śmiertelne i tak przeżyła banderowską rzeź w roku 1943. Opowiadała mi żywo, że знаła moich rodziców i Topolanków dobrze pamiętała. Wspominała nawet, jak to Blejczak Leon ożenił się z Kazimierą Topolanek, a to był jej brat przybrany.

Byłam z Bronią w Teresinie, gdy tam przyjechałyśmy zobaczyłam duży las i nie było ani śladu po naszej kolonii. Miałam nadzieję, że może natrafie na ślady po naszym rodzinnym domu, ale tylko duże drzewa, tak że znaku nie ma, że tu była kiedyś piękna, duża polska kolonia, pachnąca kwiatami. Zrozumiałam nie bez bólu serca, że nie ma mowy, bym odnalazła choćby drogę wiodącą przez Teresin na Oseredek, czy z Teresina na Włodzimierz Wołyński. A w swoim czasie, była to droga dość szeroka. **Zapaliłam zatem tam lampki, ot tak w krzakach, bo więcej zrobić się po prostu nie dało. Patrzyłam na płomień tej świecy, a ból rodził me serce, gdzieś tu pośród tych drzew i krzewów, pozostała najdroższa mi cząstka, a ja jestem tak blisko i nie mogę Ich znaleźć.** Myślałam sobie: *„Mój Boże tak wiele przeżyłam i to przeżyję, choć niełatwo mi stąd i dziś odchodzić, może nawet trudniej, niż za tym pierwszym, a może nawet i tym drugim razem.”*

Bronia chętnie dzieliła się swoimi przeżyciami, a miała swój niemały Krzyż w życiu. Z mężem który już odszedł do domu Ojca, ma troje dorosłych dzieci, byłam u nich, ale to już zupełnie inne pokolenie. Rzeź na Teresinie i w całej okolicy, odcisnęła swoiste piętno na sercu Broni, pozostawiając z biegiem czasu i ślady na twarzy. A było tak, że ledwie odżyła nieco od banderowskiej dziczy, a już na przesłuchania wzywali ją ubeki. Chcieli wiedzieć, kto z miejscowych mordował Polaków, Żydów i

sowieckich żołnierzy. I choć niektórych bandziorów rzeczywiście aresztowali, to ona jednak nie chciała mówić, bo się po prostu bała zemsty. Chciała żyć, ale byli jednak tacy śmiałkowie, co mówili i niejednego bandziora powieźli na Sybir. Zresztą dużo bandziorów uciekło na zachód Polski, na Ziemię Odzyskane. Uciekł także z Tartaku Kohyleńskiego syn Grzybowskiego Mikołaj i mieszkał sobie spokojnie przez wiele lat w okolicach Jeleniej Góry. A nikt nie wiedział z naszych, że to podły zbrodniarz, którego ręce skalane są niewinną krwią mojej rodziny i nie tylko. Ten bandzior ośmielił się nawet odwiedzić, już po wojnie Jankę Topolanek i Bronka Topolanek, ale oni także nie wiedzieli, że Mikołaj wraz z własnym ojcem mordowali Polaków na Teresinie. Naturalnie on sam słowem o tym nie wspomniał, może nawet chciał ustalić, czy ludzie coś się zwiedzieli na temat jego niechlubnej przeszłości. Dopiero gdy byłam u nich na urlopie, dopiero im powiedziałam, co jego własny ojciec mówił mi jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim. Mianowicie jak to z synem Mikołajem i innymi Ukraińcami, rąbali siekierami mieszkańców naszej kolonii, jak zabijali bez żadnej litości. Gdy im to wyjawiałam, byli zszokowani. Na koniec dodam jeszcze, że byłam także we Włodzimierzu Wołyńskim, ale tak dużo się tam zmieniło.

MĘCZENNICZY KOŚCIOŁA DOMOWEGO WOŁAJĄ O PAMIĘĆ

Jest mi wiadomo, że 09 sierpnia 1997 r. na Teresinie staraniem powstałego w Zamościu Stowarzyszenia Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu w latach 1939-1945, stanął duży, metalowy krzyż. Poświęcenia krzyża dokonali O. Leszek Kuszłaga OFM oraz Ks. Tadeusz Sokół, podczas uroczystej mszy świętej, sprawowanej w intencji wszystkich Polaków, pomordowanych na naszej kolonii, na Wołyniu i na całych Kresach Wschodnich. W uroczystości uczestniczyła duża grupa, byłych mieszkańców Teresina oraz z wielu innych miejscowości, w tym pani Teresa Radziszewska, Petronela Władyga – Rusiecka i Władysława Główka z d. Bedychaj. Na pewno jest to dla mnie, dla nas wszystkich, którzy tam pozostawiliśmy naszych rodziców, rodzeństwo, rodziny i przyjaciół wielkim pocieszeniem. Powiem więcej, że o ten krzyż my dzieci Teresina, modliłyśmy się całe życie, o to miejsce w którym można by się godnie pomodlić i tę małą lampkę pamięci zapalić. Zresztą Oni wszyscy, którzy tam zostali, już na zawsze, w naszej pamięci, przez te wszystkie dziesiątki lat żyli stale.

Jestem także przekonana, że pamięć o Nich właśnie nie zgaśnie w naszym Narodzie nigdy, zbyt wiele krwi niewinnej bowiem przelano, zbyt wielkim katuszom Ich paddano, by Naród mógł teraz zapomnieć. Tak się stać nie może bowiem na tym świecie, gdzie jest tak wiele zła, na szczęście jest także miejsce dla Bożej sprawiedliwości i Bożego miłosierdzia i do nich zawsze, należy ostatnie słowo. **Niech Bóg ma w opiece zarazem każdego, kto ważyłby się rozdzielać, lub przeciwstawiać sobie, te dwa nierozłączne, święte Boże przymioty: sprawiedliwość i miłosierdzie.** Nie! Nasza wiara jest jedna: tak, tak, nie nie i z tej oto Bożej mądrości wyrasta, to precudne ukazanie, że oto: „**Boże miłosierdzie, zasiada na tronie sprawiedliwości.**”. A mówiąc już tak po prostu, tak po ludzku: trzeba wiedzieć, za co mam wybaczyć i trzeba tym bardziej wiedzieć, komu mam okazać miłosierdzie. I to jest właśnie ta sprawdliwość, o którą wołają od dziesiątków lat Kresowianie, gdy piszą: „*Nie o zemstę, ale o pamięć wołają ofiary!*”. Stan świadomej, a niezakłamaney prawdy jest konieczny, bym szczerze wybaczyła i bym szczerze głosiła Boże miłosierdzie, tak oto właśnie miłość miłosierna, zawsze współweseli się z prawdą.

Po temu także wybaczam ukraińskim nacjonalistom ich potworne zbrodnie, których dopuścili się wobec najbliższych memu sercu, wybaczam ten ból, który

przeszywał moje serce przez tak długi czas, a który nie opuści mnie zapewne do ostatnich dni mego życia. Wybaczam to morze łez przelanych w samotne poranki i wieczory, w słoneczne i deszczowe dni, a tak wiele tych dni było. Dziś każda zmarszczka na mojej twarzy, jest jak pieczęć cierpienia, którą odcisnął okrutny los i czas, który płynął i płynie, bywa że w samotności, bo zawsze Kogoś, lub czegoś mi brakowało.

Jednakowoż, jak już nadmieniałam, wybaczyć nie znaczy zapomnieć, to dwie zupełnie inne płaszczyzny. Chcę mocno podkreślić, iż jest po ludzku niemożliwe, by zapomnieć o tej historii, którą opisałam powyżej. Powiem więcej, modłę się bardzo gorąco, by moja rodzina, krewni, wreszcie umiłowana ojczyzna, byśmy nigdy nie zapomnieli ofiary, którą Oni złożyli za nas z najcenniejszego daru, jakim jest życie. Jest moim, naszym, wreszcie ojczyzny naszej świętym obowiązkiem, zadbać nie tylko o godne upamiętnienie miejsc, w których spoczywają niewinnie pomordowani, prości, ubodzy ludzie. Obowiązkiem nas wszystkich jest żywa pamięć o Tych Męczennikach Kościoła Domowego, **Tym którzy z miłości do Rzeczypospolitej Polskiej, do ojczystych, rodzinnych zagród, do polskiej rozmodlonej rodziny, oddali swoje życie. Nie chcieli bowiem opuszczać chat, w których na ścianach wisiały poświęcone krzyże i święte obrazy.** Nie chcieli opuszczać chat, w których przeżyli niemal całe życie i w których marzyli, by dożyć też swych ostatnich dni, mówili: „*Ja nic nikomu nie winny, to i mnie ruszać nie będą.*”. Nie chcieli zostawiać chorych i niedołączonych na pastwę losu i głodu, by nie narażać Ich na pewną śmierć w rozszalałej nawałnicy II wojny światowej. Wreszcie nie chcieli zostawiać dorobku całego życia, owoców pracy całych pokoleń, by iść w objęcia nieludzkiej maszyny hitlerowskiej. Jakże często siadali w ogrodzie, bądź w zbożu i rzewnie płakali w obliczu, tak nieludzkich okoliczności z którymi przyszło Im się zamagać. To właśnie Oni żywe zastępy Męczenników Kościoła Domowego, wybieleni we własnej, niewinnej krwi, a dziś przybrani w białe szaty Zmartwychwstałego Baranka, radośni i orędujący za nami u Pana.

Spisane powyżej świadectwo, które osobiście przesłałam w moim Liście do Zamościa, jeszcze w roku 2004, a uzupełniłam 21 lipca 2011 r., opowiadając naszą historię panu Sławomirowi Roch, który odwiedził mnie w Legnicy, zostało mi przesłane do przeczytania po opracowaniu, a prawdziwość zawartych powyżej treści, potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Wiktoria Baumgart

PRACA I OFIARA WIELU POKOLEŃ POSZŁA Z DYMEM

Ten wymowny podtytuł można odczytać w przenośni i dosłownie, jeśli bowiem wczujemy się w los dziesiątków tysięcy polskich rodzin, które na umiłowanych Kresach, pozostawiły pracę, ofiarę i modlitwę wielu pokoleń swoich przodków. Nasze serca otworzą się na ból i wołanie żywego, polskiego, domowego Kościoła, który nie tylko pamięta, ale upomina się o los i pamięć dla Tych wszystkich, którzy zostali tam za Bugiem, już na wieczną wartość! Czy Ich modlitwa, ofiara, praca i pot, łzy i cierpienie, może być dziś zapomniana? Niepodobna, dlatego właśnie wbrew politycznej poprawności i liberalnym nurtom, **wciąż budzi się w wielu ludziach, ta niezwykła miłość, ta „ponadczasowa nić”, która łączy ponadczasowo pokolenia zrodzone, wychowane, ukształtowane i co najważniejsze zahartowane w próbie,** te kresowe pokolenia! Pokolenia, które nie spoczną, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość, bo to jest ich misja, powołanie i

święty obowiązek, zaciągnięty wobec Tych wszystkich, którzy tam wciąż czekają na ostatnią posługę, na ostatni sakrament.

To w przerośni, a dosłownie sama Boża Opatrzność umacnia i pociesza swoje dzieci, gdy pochyła się nad naszym losem, a swojej cząstki, nadprzyrodzonej i ziemskiej niejako używa. Oto bowiem w Żwirce koło Sokala nad Bugiem spłonął 27 marca 2012 r. XVII-wieczny kościół i były klasztor bernardynów. Aby właściwie odczytać ten akt dziejowy, trzeba sobie zadać trud, by uzmysłowić sobie, jak wiele pokoleń Polaków na Kresach swoją ufnością, gorącą i wytrwałą modlitwą, a nade wszystko znojną pracą, wznosiło przez całe wieki, ten Boży i tak przepiękny, drogi sercu Przybytek. **Sokalskie Sanktuarium Maryjne słynęło bowiem na całą okolicę, ba nie będzie żadną przesadą, jeśli napiszemy tu, że jego sława sięgała, aż po krańce Ziemi Ukrainnych.** Każdy kto się bowiem interesował historią Kościoła na Kresach, kto szukał tu i tam, to wie że Sanktuarium w Sokalu zwane było częstokroć „*Częstochową na Rusi*”. **A teraz leży oto w kompletnej runie, a teraz oto dopalają się polana i żerdzie sokalskiej wieży dachowej.** Czyż nie można w tym dziejowym dopuszczeniu dopatrzeć się podobieństwa z losem dziesiątków tysięcy Kresowian, pomordowanych, wypędzonych z rodzinnych siół i zagród, a na rodzinnych majątkach, spopielenych do gołej ziemi? Czy trzeba mieć serce z kamienia, by nie widzieć, że to sama Pani Sokalska pochyła się do ziemi, pochyła się nad losem swoich dzieci, rozsianych dziś po całym świecie? Pochyla się, by raz jeszcze być blisko „*swojej wiary*”, by raz jeszcze rzec: „*Nigdy ja cię ludu nie rzuciła, nigdy ci swego nie odjęła lica, ja po dawnemu Twa Matka i Królowa, Bogarodzica.*”.

Ks. Andrzej Miłułka, proboszcz w Sokalu oraz kapelan więzienia powiedział Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI): „*Podczas pożaru, który trwał kilka godzin, zawaliła się wieża i krzyż, a z klasztoru pozostały wyłącznie opalone ściany*”. W klasztorze mieścił się bowiem zakład karny o zastrzonym rygorze, gdzie w celach znajdowały się m.in. osoby skazane na karę dożywotnego więzienia. W więzieniu było osadzonych 612 osób, którzy po wybuchu pożaru zostali ewakuowani. Kapłan wspominał, że przed zmianą granicy polsko-sowieckiej do 1946 r. znajdowało się tam słynne sanktuarium Matki Bożej Sokalskiej.

Według kronik kościelnych w 1498 r. ze zgliszczy spalonego przez Tatarów miasteczka wydobyto nienaruszony płomieniami obraz, który od tego czasu zaczął cieszyć się coraz większym kultem. Ten XV-wieczny wizerunek spłonął w 1843 r. Zastąpiono go wówczas malowaną na miedzianej blasze kopią. Cześć wizerunkowi Maryi oddawali królowie i możnowładcy zarówno katolicy, jak i prawosławni, m.in. Bohdan Chmielnicki. Od początku sokalskim sanktuarium opiekowali się ojcowie bernardyni. Gdy po II wojnie musieli opuścić klasztor, zabrali ze sobą do Krakowa cudowny wizerunek Matki Bożej. Obecnie znajduje on w sanktuarium w Hrubieszowie.

Po długich staraniach lwowskiej kurii metropolitalnej Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie oraz innych Kościołów chrześcijańskich i wyznań w sokalskim więzieniu utworzono duszpasterstwo. Dwa lata temu w okresie wielkanocnym arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki odwiedził zakład karny. Rozmawiał z władzami służby więziennej na temat remontu świątyni. Był pierwszym duszpasterzem w historii więzienia, który wszedł na oddział dla osób skazanych na dożywocie. Obecny wtedy na spotkaniu ówczesny dyrektor okręgowy więziennictwa gen. Wasyl Ilnyckij mówił, że nie wypada, aby klasztor i świątynia były miejscem przetrzymywania przestępców. „*Niestety, nic nie zrobiono, aby zmienić tę sytuację oraz należyście zabezpieczyć zabytek przed pożarem. Dziś został on całkowicie zniszczony*” – zaznaczył ks. Miłułka.

OD LAT NABIERAJĄ WODY W USTA

Z Sokala do Swojczowa jest około 40 km, bywało że w przeszłości pielgrzmi udawali się to w jedną, to w drugą stronę, dla przykładu z okazji uroczystego Odpustu kościelnego. Nie chodzi jednak o sam fakt zniszczenia tego świętego miejsca, oto bowiem po kościele Narodzenia NMP w Sojczowie, także nie ma dziś śladu. A w miejscu zburzonej przez ukraińskich nacjonalistów pięknej, dużej świątyni, stoi dziś jedynie metalowy krzyż, ustawiony przez tych, którzy przeżyli rzeź. Takich miejsc na Wołyniu i Kresach jest bardzo dużo, żeby dla przykładu wymienić wypalone mury, pięknego kościoła Matki Bożej Szkaplerznej w Kisielinie, czy puste i smutne dziś mury, prześwietnego niegdyś Sanktuarium Matki Bożej Różańcowej w Podkamieniu na Podolu. Czy nie mamy obowiązku upominać się o te pomniki polskiej pobożności i te wiekowe skarby kultury Kresowej?

Chodzi raczej, a może przede wszystkim, co raz jeszcze podkreślam z mocą, o ten gest solidarności Bożej Opatrzności z dziesiątkami tysięcy ubogich rodzin polskich z Wołynia i Podola, z Pokucia i Polesia. **Bezcenny „gest solidarności” z tymi, którzy spośród popiołów własnych chat, jakże często w jednej koszuli, uciekali spod razów pijanych siekierników, bohaterów o zgrozo „pełną gębą” obecnej Ukrainy Zachodniej.**

Nie może zatem dziwić treść Listu Otwartego Przewodniczącego Kresowego Ruchu Patriotycznego pana Jana Niewińskiego, z dnia 27 marca 2012 r., opublikowanego w Warszawie, a skierowanego do Bronisława Komorowskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, w którym czytamy: *„Panie Prezydencie! Po raz kolejny zwracamy się do Pana w ważnej narodowej sprawie. Dotyczy ona najokrutniejszego w naszych dziejach ludobójstwa, jakiego dokonali banderowcy na obywatelach polskich Kresów Wschodnich II RP. Mimo upływu 70 lat ofiary tych makabrycznych zbrodni wciąż czekają na godny pochówek, ich szczątki poniewierają się w nieoznaczonych, a w większości nieznanymi miejscach.*

Jednocześnie zaistniała rzecz bez precedensu w skali świata. Sprawcom tego ludobójstwa nie tylko nie wymierzono kary, nie zostali oni potępieni, ale wzniesiono im setki pomników i znaków „sławy”: na Ukrainie, w państwach zachodnich, i – co budzi grozę – w Polsce. Należy podkreślić, że pierwszy pomnik Romana Szuchewycza – zastępcy dowódcy Batalionu SS „Nachtigall”, sprawcy pogromu Żydów i profesorów polskich oraz późniejszego dowódcy UPA, bezpośrednio odpowiedzialnego za rzeź Polaków i Ukraińców na Kresach – został wzniesiony w Buffalo w 1968 r. Z kolei pierwszy pomnik Stepana Bandery odsłonięto w Nowym Jorku w 1983 r. Natomiast od kilkunastu lat władze naszego Kraju nie zezwalają na postawienie w Warszawie pomnika dla uczczenia pamięci ponad 200 tysięcy ofiar banderowskiego ludobójstwa.

Źródła tego kuriozum należy upatrywać u zarania „zimnej wojny”, kiedy zaistniało zapotrzebowanie na bezwzględnych ludobójców, zaprawionych terrorystów, ludzi bez skrupułów moralnych, znających jednocześnie realia sowieckie oraz języki rosyjski, ukraiński i polski. Kryteria te spełniali właśnie banderowcy, melnykowcy i członkowie SS-Galizien. Wszyscy oni zyskali przychylność i opiekę zachodnich demokracji, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Zostali zatrudnieni w służbach specjalnych i jako doradcy rządów tych państw. W zamian zapewniono im

bezkarność, wysokie zarobki oraz stworzono warunki do fałszowania historii OUN-UPA. Uzyskali oni także wpływy w Radiu „Wolna Europa”, „Głosie Ameryki” oraz paryskiej „Kulturze”. Klasycznym przykładem (choć nie jedynym) jest kariera Mykoły Lebedia, szefa Służby Bezpieczeństwa OUN-B, oprawcy Polaków i tych Ukraińców, którzy odmawiali udziału w zbrodniach UPA. Został on zatrudniony przez CIA oraz otrzymał obywatelstwo amerykańskie. Prócz doradztwa i świadczenia „usług” wywiadowczych szkolił on między innymi żołnierzy amerykańskich przygotowywanych do wojny w Wietnamie.

Panie Prezydencie! Trzykrotnie odmówił Pan patronatu nad uroczystościami rocznicowymi organizowanymi przez środowiska kresowe. Stanął Pan po stronie banderowskich ludobójców hańbiąc tym majestat urzędu prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Również Pierwsza Dama odmówiła patronatu nad konkursem dla młodzieży na temat wiedzy o Kresach RP, organizowanym przez Instytut Kresowy.

Na miano skandalu zakrawa fakt, że na Pański wniosek Marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna po raz trzeci zdjął z porządku obrad przygotowaną już i zaakceptowaną przez wszystkie kluby poselskie uchwałę ustanawiającą 11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian. Co gorsza, również z Pańskiej inicjatywy parlamenty Polski i Ukrainy mają podjąć uchwałę o tzw. pojednaniu między obu narodami, a dokument ten ma być ogłoszony w 65. rocznicę Operacji „Wisła”, która położyła kres banderowskiej irredencie na Rzeszowszczyźnie. Ukraińcy i Polacy nie potrzebują pojednania, gdyż między obu narodami nie było i nie ma wzajemnych pretensji. Natomiast wybór daty ogłoszenia takiego dokumentu stanowi podeptanie pamięci Polaków bestialsko pomordowanych przez UPA i dalsze fałszowanie historii. Stanowczo żądamy wycofania się z tego projektu i ustanowienia przez Sejm **11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian**.

Tzw. pojednanie nie jest potrzebne Polakom i Ukraińcom, ale stanowcze potępienie zbrodni UPA na narodzie polskim i ukraińskim oraz uznanie OUN i tzw. UPA za formacje zbrodnicze. Tylko prawda może stanowić solidny fundament dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Ukrainą. Taką myśl zawarliśmy w haśle obchodów 70. rocznicy: „**Polska Ukraina – przyjaźń i partnerstwo, OUN-UPA – hańba i potępienie**”. A za patronów obchodów obraliśmy żołnierza, poetę i żarliwego przyjaciela Ukraińców, por. Zygmunta Jana Rumla oraz wielkiego patriotę ukraińskiego, niezłomnego apostoła walki o prawdę historyczną, o honor i godność narodu ukraińskiego - dra hab. Wiktora Poliszczuka. Panie Prezydencie, znawcy przedmiotu twierdzą, że w polityce nie ma kategorii moralnych ani sentymentów. Liczą się tylko interesy i skuteczność. W tym kontekście nasuwa się pytanie: czy Pańskie działania służą interesom narodowym?”

Jestem przekonany, że treść powyższego Listu Otwartego nie wymaga żadnego komentarza, dla każdego kto zna powyższe „sprawy kresowe”, jest ona oczywista. Naturalnie w pełni solidaryzuję się z treściami zawartymi w powyższym Liście i zachęcam, by poświęcić choćby odrobinę prywatnego czasu i przekazać ten List, także tym którzy o jego istnieniu może nie wiedzą, a może nawet nie chcą wiedzieć. Jeśli brać na serio pod uwagę „wiarygodne sondaże”, popularności Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, to nad naszą roztropnością polityczną w

Narodzie, trzeba się nie tylko pochylać, harować jak wół, mocno pocić, dziś trzeba już nawet i to rzewnie płakać. I aby nie zapeszać „nieśmiały”, zakończę tylko pozornie z „innej beczki”. Otóż porażony stanem pokaźnej części naszego Narodu w ostatnich latach, miesiącach i dniach, pisałem 27 marca 2012 r. w sms-sie do swoich zanjomych w Wielkiej Brytanii i w Polsce: „*Serwus. Pozdrawiam i na sam koniec czasu postu, wyciszenia zapodaję „coś” do przemyślenia, a zatem: ‘Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala, czy ten, co mówić o tym nie pozwala?’.* Tak sto lat temu pisał wirtuoz, geniusz słowa, jeden z największych polskich poetów Cyprian Kamil Norwid. *Od siebie zaś dodam, że prawda bywa bardzo bolesna, ale zawsze wyzwala, a kłamstwo, co dzień rośnie, powala na bruk, w końcu zniewala! Czyżbym się mylił może, zapytam ino w pokorze? Sławko z Glasgowa”* .

I wyznam szczerze, że choć obserwacja polskiej sceny politycznej oraz „rosyjskiej pragmatyki” na przestrzeni wieków, zdążyła nieco zahartować moje emocje, tak że nie wiele może już zadziwić. Są jednak rzeczy święte, których nie powinno się kalać, a gdy jednak tak się dzieje, musi to boleć i musi rodzić naturalny i konieczny odruch obronny. Taką rzeczą świętą, także w dzisiejszej chwili dziejowej jest wrak tupolewa, samolotu który 10 kwietnia 2010 r. uległ katastrofie, w której zginęła cała elita przywódcza Rzeczypospolitej Polskiej. Elita mająca inną niż Moskwa wizję Europy Środkowo – Wschodniej, aby nie było wątpliwości. Zatem gdy słyszę jak Rosjanie traktują, tę rzecz świętą z uwagi na powyższe okoliczności i śledztwo, które wciąż nie jest zakończone, naturalną postawą jest obowiązek obrony prawdy, polskiej racji stanu, wreszcie nawet własnego honoru. Nigdy nie było trudno, być tchórzem, ale żyć z tym piętnem, po prostu nie idzie i niepodobna, dlatego z głębi serca, znów pisałem w sms-sie do swoich znajomych na Wyspach i w Polsce: „*Witam. Gdy przeczytałem o wypucowaniu resztek tupolewa przez Rosjan, nie mogłem wprost uwierzyć. Tylko jedno słowo odpowiada temu, co się stało: zgroza! Świadome niszczenie śladów na kadłubie samolotu, okrywa hańbą Rosję oraz tych w Polsce, którzy do tego dopuścili. Jak to możliwe, że kluczowy dowód w tej katastrofie: wrak samolotu najpierw pocięto, potem zostawiono miesiącami na deszczu, a teraz „starannie” wypucowano? Cała ta sprawa nie tylko, że wygląda już na zamach, ale ewidentnie ośmiesza, upokarza, a polskie władze, już nawet hańbi w oczach świata. Ja do tego swojej ręki nie przyłożę. Historyk Sławomir Tomasz Roch.”*

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Pewne niewielkie partie powyższych wspomnień, zostały spisane już w roku 2004, aby rok później stanowić, ważny rozdział książki: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*” , której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesłałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r. , jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.).

Wspomnienia przesłane na mój adres w Zamościu w Liście, tak bogate i cenne pani Wiktoria zakończyła słowami: „*To w skrócie mój opis życiorysu, wszystkiego dokładnie nie pamiętam, bo już tyle lat minęło. Moc pozdrowień.*” . Przeżycia pani Wiktorii sprawiły, że uznałem za konieczne, by ją odwiedzić i uzupełnić kilka

ważnych wątków, już jako historyk, który podjął się opracowania jej wspomnień. Nasze spotkanie miało miejsce 21 lipca 2011 r. w Legnicy, a uzyskane wtedy informacje, ostatecznie nadały formę, temu opracowaniu, które od dziś służyć będzie wszystkim, którzy prawdziwie szukają prawdy o ludobójstwie na Wołyniu. W niniejszym opracowaniu zamieściłem także fragment b. cennego artykułu p.t.: „*Rzeź w komisariacie Ukraina*”, w którym opisane zostały losy pani Leokadii Miedzianowskiej z d. Buczkowskiej. Wspomnienia zamieszczone zostały w czasopiśmie „*Głos Wągrowiecki*” 04 sierpnia 2011 r.. Dla potrzeb obecnych czytelnika, wspominałem także o klasztorze o. Barnardynów w Sokalu na obecnej Ukrainie Zachodniej, zwanym niegdyś: „*Częstochową na Rusi*”. Uznałem także za dziejową konieczność dodać do wspomnień, treść Listu Otwartego Przewodniczącego Kresowego Ruchu Patriotycznego pana Jana Niewińskiego, z dnia 27 marca 2012 r., opublikowanego w Warszawie, a skierowanego do Bronisława Komorowskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zatem całość wspomnień w powyższym wymiarze, zostaje opracowana i ukończona osiem lat później: 15 kwietnia 2012 r. w Glasgow w Szkocji, w Święto Bożego Miłosierdzia.

Praca ta budzi wdzięczność, cieszy to i jak się potocznie powiada: „ *dodaje skrzydeł*”. **Przesłałem oto kopię opracowanych wspomnień na adres pani Wiktorii w Polsce**, (czyńię tak zawsze przed opublikowaniem w internecie), a pan Zbigniew Baumgart z Bogatyni, syn pani Wiktorii, 15 maja 2012 r., odesłał mi tej treści maila: „*Szanowny Pan Sławomir Tomasz Roch. Bardzo serdecznie dziękuję za napisanie moich wspomnień o pomordowanych Polakach na Kresach Wschodnich [Włodzimierz Wołyński]. Również o wymordowaniu mojej rodziny tj. rodziców, braci i siostr. Moja historia tej tragedii została napisana przez szanownego Pana, zgodnie z moimi wspomnieniami, za co serdecznie jestem wdzięczna i dziękuję Panu bardzo! Wiktoria Baumgart.*”. Na zakończenie dodano także: „*Serdecznie pozdrawiam Pana i żonę oraz ukłony i szacunek za ciężką i mozolną pracę od wnuczka Przemysława Kubiaka oraz od piszącego tego maila, syna pani Wiktorii Zbigniewa Baumgart.*”.

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*” , o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie.

Powyższe wspomnienia pani Wiktorii Baumgart z d. Sobolewska zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego krzyża katolickiego na swojej, często zapomnianej już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch